

Nowak i Kuźniak - szal ze str. 19

Była ładna, młoda. Nie krzyczała. Gwałcił ją, przyciskając mocno jej głowę do stołu. W drugiej ręce miał bagnet. Najpierw rozciął jej bluzkę. Potem jedno cięcie, od brzucha po szyję. Krew chlusnęła. Czy wiecie, jak szybko zastyga krew w sierpniu...?

Jest też to małe dziecko w rękach Dirlewangera. Wyrwał je kobiecie, która stała w tłumie na ulicy. Podniósł wysoko i wrzucił do ognia. Potem zastrzelił matkę.

A tamta dziewczynka, która wyszła nagle z piwnicy, była chuda i niewysoka, jakieś 12 lat. Ubranko podarte, włosy rozczochrane. Z jednej strony my, z drugiej Polacy. Stała pod ścianą, nie wiedziała, gdzie uciec. Podniosła rączki, powiedziała: „Niś partizani”. Machnąłem do niej, żeby się nie bała, żeby podeszła. Szła z rączkami do góry. W jednej coś ścisnęła. Była już blisko, padł strzał, główka jej odskoczyła. Z ręki wypadł kawałek chleba. Wieczorem podszedł do mnie plutonowy, był z Berlina. „Czyż to nie był mistrzowski strzał?” - uśmiechnął się z dumą.

Często przychodzili do nas dzieci. Nie mogły znaleźć rodziców. Chciały chleba. Mały Polak przynosił nam jedzenie na wartę. Chyba nie był jeńcem. Nie wiem. Miałem wtedy wartę w fabryce tekstyliów w piwnicy. Nie mówił po niemiecku, ale potrafiliśmy porozumiewać się gestami. Jak miałem, dawałem mu papierosy. Przechodził esesman. Kiwnął na niego, mały poszedł za nim. Usłyszałem strzał. Pobiegłem, chłopiec leżał martwy na schodach. Esesman skierował pistolet na mnie. Patrzył długo, ale odszedł. Tak było w Warszawie.

Naszą maskotką był kaleki chłopiec, też ze 12 lat. Stracił nogę, ale potrafił bardzo szybko skakać na drugiej. Był z tego bardzo dumny. Zawsze skakał wokół żołnierzy, w tą i z powrotem. Mówiliśmy, że to na szczęście. Trochę pomagał. Któregoś dnia zawołali go esesmani. Skoczył do nich chętnie. Śmiali się, kazali mu skakać w stronę drzew. Widziałem z daleka, jak wsuwają mu dwa granaty do torby. Nie zauważył. Skakał, a oni się śmiali: „Schneller, schneller!” (szybciej, szybciej). Wyleciał w powietrze.

Zwykle budzę się bardzo wcześnie, moja żona śpi długo. Czasem w północy widzę przed sobą zabitych. Czasem próbuję liczyć tych, których sam zabiłem. Nie mogę policzyć.

Kara za niebieskie gatki

- Wody w Warszawie było bardzo mało. W punkcie opatrunkowym stała wanna, do której dolewano świeżej wody. Kiedyś do niej wskoczyłem. Wielu tam wskakiwało. Znajomy sanitariusz powiedział, że w opuszczonej piwnicy jest dużo bielizny. Była niebieska, nieregulaminowa. Swoje wojskowe lumpy wyrzuciłem. Potem za te niebieskie cywilne gatki dostałem od sierżanta tydzień kompanii karnej. Musiałem nosić miny nad Wisłą.

Drugą karną wartę dostałem za księdza. Wyszliśmy tylnie drzwi do klasztoru - bardzo ciężkie, prowadziły do piwnicy. Klasztor, ogromny budynek niedaleko Starego Miasta, był już bardzo uszkodzony przez bomby i granaty. Wskoczyliśmy we dwóch do środka. Przed nami stał ksiądz. Trzymał opłatek i kielich. Może to był odruch, nie wiem, uklękliśmy, dał opłatek. Wpadł trzeci z naszej grupy, też dostał opłatek. Wlecieli esesmani, jak zwykle strzelały, krzyki, jęki. Siostry były w habitach. Kilka godzin później zobaczyłem tego księdza w rękach dirlewangerowców. Pili wino z kielicha, hostia leżała połamana. Obsikiwali krzyż oparty o mur. Dreńczyli księdza; miał zakrwawioną twarz, rozerwaną sutannę. Zabraliśmy im tego księdza, to był jakiś odruch. Esesmani byli zdumieni, ale tak pijani, że nie wiedzieli, co się dzieje. Następnego dnia też niczego nie pamiętali. Ksiądz oddaliśmy do naszego batalionu, więcej nic o nim nie słyszałem, ale po drodze

natknęliśmy się na Felsa. Dostałem za księdza samotną wartę na moście, chyba Kierbedzia. Mosty na Wiśle były już wysadzane, ale część przesłała. Rosjanie mieli stanowisko karabinu maszynowego po swojej stronie, my po naszej. Miałem w połowie mostu dzień i noc trzymać straż wywiadową. Ukrywałem się za stalowymi dźwigarami. Noc była spokojna. Od czasu do czasu oba karabiny się ostrzeliwały, raczej tak na wiwat, bo były za daleko. W dzień Rosjanie poruszali się dość bez troski. Na zapleczu jeździły małe samochody, przywiozły kuchnię polową. Oficerowie z szerokimi pagonami obserwowali przez lornetki naszą część Warszawy. Żołnierze się opalali.

Na innej karnej warcie ukryty w belach z materiałami w jakiejś fabryce tekstyliów obserwowałem Polaków. W razie ataku miałem wystrzelić czerwoną racę i uciekać. Było ich ze 40. Dowodził oficer w mundurze. Wyglądali nędznie. Wielu rannych. Widziałem kobiety z bronią, cywilów, dzieci. Broń mieli kieszki. Wieczorem wróciłem z meldunkiem, rano szturmowaliśmy kryjówkę powstańców.

Już nie pamiętam, którego dnia postanowiliśmy zabić tę świnię Felsa. Żeby przeżyć, bo gnał nas ciągle naprzód. W siedmiu czy ośmiu losowaliśmy karabiny. Dwa były nabit. Jak tylko Fels znalazł się z przodu, wypaliliśmy mu w plecy. Padł, a my uciekliśmy. Nowy dowódca był bardziej ludzki.

Portki ciężkie od złota

- Dziś już nie wiem, czy wtedy wysadzaliśmy Państwową Wytwórnę Papierów Wartościowych, czy raczej Bank Polski. W każdym razie gdzieś w centrum. Nie mogliśmy długo tego zdobyć. Kazali nam zrobić podkop. Kopaliśmy we dwóch, tylko w slipach. Zmienialiśmy się na przodku. Kiedy byłem na przodzie, poczułem dziwny zapach, potem kolega przestał odbierać ziemię. Podczołgałem się, leżał martwy. Podkop wychodził na piwnicę. Usłyszałem Polaków. Pewnie odbili piwnicę. W nocy się wyczłogałem i piwnicami doszedłem do swoich. Nie mogłem rozpoznać wartownika. Kazał mi położyć się na ziemi. Wykrzychałem swoje nazwisko i hasło: „Heidekrug” (Dzban wrzosu). Pytał, dlaczego jestem w majtkach. W końcu uwierzył.

Następnego dnia przywieźli gołiata. Cywile musieli torować mu drogę, bo Polacy nauczyli się wysadzać gołiaty jeszcze przy naszej linii i dużo żołnierzy ginęło. Gołiat wywalił dziurę w murze. Całą noc goniliśmy się z Polakami po piwnicach i piętach. Rano przyjechał czołg i budynek został zdobyty. W piwnicach leżało pełno złotych monet. Upychaliśmy je sobie po kieszeniach, aż portki spały. Potem złoto znikło. Nasi szepotali, że Dirlewanger je gdzieś wywiózł.

Wiedziałem, kto ile będzie żył

- To była chyba moja ostatnia akcja w Warszawie. Zdobywaliśmy jakiś budynek, biegłem przez pole. Leżał ranny żołnierz. Dałem mu wody z mojej manierki i pobiegłem wysadzić drzwi. SS szło za nami. Jak wracałem, zatrzymał mnie Dirlewanger. Wskazał rannego: „Ty dałeś tej świni pić?”. Dopiero teraz zauważyłem, że na niemieckim mundurze ranny ma brudną białą-czerwoną opaskę. „Zastrzel go!” - Dirlewanger dał mi swój pistolet.

Stąłem bez ruchu, miałem dość wszystkiego. Dirlewanger był tak wściekły, że nie rozumiałem, co wrzeszczy. Ten Polak patrzył na mnie. Nie zapomnę tego wzroku. W Warszawie nauczyłem się poznawać, czy ranny pożyje dziesięć minut, czy kilka godzin. Jak się widzi tyłu umierających, to się już wie, ile kto będzie żył. Jeden z esesmanów Dirlewangera wyrwał mi pistolet i zastrzelił Polaka.

Dirlewanger wrzeszczał, że mnie rozsłuchał. Ale przybiegli żołnierze z Wehrmachtu, więc zaczął grozić sądem wojennym. Jakiś oficer piechoty zaczął z nim ostro dyskutować. Dałem nogę.

Pilka wpadła do piwnicy

- Pod koniec września podeszli do mnie trzej Polacy z podniesionymi rękami. Oddali karabin maszynowy i dwa pistolety. Jeden mówił perfekcyjnie po niemiecku. Stałem sam na posterunku. Nie wiedziałem, co mam z nimi zrobić. Powiedziałem, że muszą poczekać i lepiej, żeby ich nikt nie zauważył. Miałem szczęście, szybko znalazłem naszego nowego porucznika. Odebrał jeńców osobiście i zaprowadził do SS.

Ostatni przyczółek Powstania skapitulował. Jakiś wysoki oficer przyszedł jako przedstawiciel narodu z białą flagą. Zaprowadziliśmy go do dowódcy batalionu. Widziałem tam naszego majora Wullenberga, Dirlewangera i innych dowódców. Po paru godzinach Polacy przyszli, ciągnąc za sobą masę ludzi i broń. Wszystkich rannych położono w wielkim magazynie fabryki octu. Nam rozkazano wyjść. Z zewnątrz słyszeliśmy krzyki i strzały. Wiem, co tam się stało.

W dniach kapitulacji natknąłem się na Felsa. Był ciężko ranny, ale przeżył nasz zamach. Obszedłem go z daleka. Dirlewangera widziałem ostatni raz, jak szedł wśród ruin z dwiema pięknymi kobietami. Miasto płonęło, na ulicach trupy. Jego skórzany płaszcz był podarty. Nie wiem, czy to Polki, byłem za daleko.

To, co pozostało z Warszawy, wysadzali minery. Zostaliśmy przeniesieni, ale w listopadzie znowu tam byliśmy. Graliśmy w piłkę. Piłka wpadła do piwnicy. Wskoczyłem, żeby ją wyciągnąć. W piwnicy leżały niezliczone ciała, już prawie szkielety.

Rusek, Niemiec czy Mateusz

W Ochodzy, małej wsi pod Gnieznem, jeszcze pamiętają Mateusza, ale nie z czasów, kiedy ukrywał się w stajni Brzewińskich, tylko jako eleganckiego pana, który w latach 80. przyjeżdżał autobusem pełnym jedzenia i zachodnich ciuchów. Dary ksiądz rozdzielał wśród parafian.

Zajrzeliśmy do zagrody Libnerów. Józef Libner zmarł w ubiegłym roku. Był rówieśnikiem Mateusza; lubili się mocować, tarzali się po podwórku, ale Mateusz, zaprawiony w walkach wręcz, kładł go na łopatki.

Syn Libnera pokazał nam datę wyciętą na ścianie drewnianej ubikacji: „1946 M.S.” - Już dwa razy przerabialiśmy ubikację, ale tata kazał te deski zostawić, bo to pamiątka po Mateuszu.

- Wyciąłem scyzorykiem, jak wyjeżdżałem - Schenk się wzrusza, kiedy opowiadamy o Ochodzy. - Z Józefem byliśmy braćmi krwi. Nacięliśmy sobie nadgarstki i przyłożyliśmy je jak Indianie.

Odwrot spod Warszawy saperski szturmowego Schenka to osobna opowieść. Spisał ją parę lat temu. Z żołnierzy, z którymi 1 sierpnia przyjechał do Warszawy, zostało trzech. Zimą 1944 roku uciekali przed rosyjskimi czołgami i komandami SS, które wieszały uciekinierów na drzewach. Głodni i wycieńczeni kierowali się do Gościeszyna (Godesberg) pod Gnieznem, gdzie rozproszonym żołnierzom wyznaczono miejsce zgromadzenia.

- Wyrzuciliśmy prawie wszystką broń. Pasy, hełmy. Kilku miało rany, które próbowali ukryć, żeby ich koledzy nie zostawili. Iwani tropiły w śniegu nasze ślady. Odciepli nam drogę do lasu. Uciekliśmy na środek zamkniętego jeziora. Nie weszli za nami na lód, ale czołg strzelał w jezioro. Kolega zaczął odmawiać „Ojcie nasz”, mówił coraz ciszej, aż zamilkł. Umarł. Kiedy chmury zasłonił księżyc, podpełzaliśmy do brzegu. Rosjanie palili papierosy, czołgaliśmy się między posterunkami. Ukryliśmy się w lesie, ale w południe czołg znowu jechał naszym śladem. Nie miałem już siły, położyłem się w rowie na skraju lasu. Na mundurze miałem biały kombinizon ochronny, podobne nosili Rosjanie.

Znaleźli mnie polscy chłopcy. „Rusek? - zapytali. - Niemiec?” - kiwnąłem głową. Wtedy ten najwyższy powiedział po

niemiecku: „Biedny chłopcze, jesteś głodny?” Zaciągnęli mnie do domu. Bałem się. „Polacy są przebiegli, podstępni i fałszywi” - uczyli mnie w wojsku. Kiedy do kuchni weszła dziewczyna z dużym nożem, myślałem, że mnie zarzną. Rozciąła mi buty, bo nie mogli ich zdjąć. Miałem złamaną nogę, rękę i liczne odmrożenia. Dali ciepłego mleka. Tak trafiłem do braci Brzewińskich z Ochodzy (już nie żyją). Na starszego, Ignacego, mówiłem „ojciec”, a na Wincentego - „wuj”. Na mnie wołali Mateusz. Ukrywali mnie w stajni z trzema końmi, Mucką, Gniadym i Murzynem. W mroźne noce spałem nad parownicą do ziemniaków.

Rosjanom, którzy zaglądali do wsi, Brzewińscy powiedzieli, że jestem ciężko chorym synem, a chorych Rosjanie omijali z daleka. Polskim władzom omówili, że już pół roku się u nich ukrywam, bo zdezerterowałem z Wehrmachtu.

Dlaczego mnie uratowali? Nigdy się nie dowiedziałem. Chyba z litości; wyglądałem jak pobity dzieciak. Kiedyś mi powiedzieli, że przez czarny różanec, który znaleźli na piersi, jak zdzierali ze mnie mundur.

Bylbym Polakiem

Kiedyś „ojciec” powiedział: „Hitler kaput, wojna kaput” i Mateusz już się nie musiał ukrywać. Wieś lubiła Mateusza, on był w Ochodzy szczęśliwy. Pomagał w gospodarstwie.

- Przesłuchiwali mnie w Trzemesznie, Polak i Rosjanin. Kazali mi się rozebrać. Oglądali, czy nie mam tatuaży SS. Na podwórzu leżał rozstrzelany chłopak w mundurze Hitlerjugend. Kręcili nosem na te 19 walk wręcz w Warszawie, które miałem w książeczce. Ale „ojciec” poręczył za mnie, a książeczkę zamurował w ścianie.

Pamiętam, jak miejscowy proboszcz wrócił z obozu koncentracyjnego. Parafianie wyjechali mu naprzeciw. „Ojciec” też mnie zabrał. Ksiądz szedł, wspierając się laską, chudy i bladej, w pasiaku. Pojechaliśmy do kościoła. Pierwszy raz po długim czasie usłyszałem Tantum Ergo, śpiewając, przez kościół i błogosławił. Mnie też. Byłem szczęśliwy, pełen wstydu i winy.

Mateusz wyjechał z Ochodzy w czerwcu 1946 roku. Brzewińscy dali mu na drogę 200 zł, chleb i masło.

- Prowizoryczna ambasada belgijska była w Warszawie. Siedziałem na schodkach budynku, który kiedyś zdobywałem. Ludzie mieszkali w ruinach piwnic. Tylko tramwaj jeździł przez Wisłę na Pragę. Wracałem do domu trzy miesiące. Przez polskie areszty, amerykański obóz jeniecki w Berlinie. Belgijska żandarmeria zabrała mnie do Brukseli na przesłuchania. Belgowie mnie nie chcieli. Nie miałem dokumentów. Każdy mógł powiedzieć, że jest Belgiem.

Zoną poznałem po wojnie. Na granicy belgijsko-niemieckiej wszyscy wtedy szmuglowali. Niosła do Belgii prosiaka, ja do Niemiec kawę. Spotkaliśmy się w lesie, wróciłem do domu z prosiakiem.

Mathias Schenk ma trzech synów i córkę. Przez 30 lat produkował w Brukseli szpachłówkę do samochodu i szlifował karoserie. Szpachłówkę Schenk Braun sprzedawał w całej Europie. Teraz firmę prowadzi syn z żoną.

Dziesięć lat chodził w pielgrzymkach pokutnych do Banneux, gdzie Matka Boska ukazała się małej dziewczynce. W latach 80. organizował w Brukseli akcje pomocowe dla Polaków. 32 razy wiozł do Polski jedzenie, ubrania i pampersy.

- Znowu byłem w Warszawie. Spotkałem się z weteranami Powstania. Byli mili. Jeden opowiadał, jak 1 sierpnia ostrzelał ostatni niemiecki pociąg. W Ochodzy nie wiedziałem już, kim jestem - Belgiem, Niemcem, Mateuszem? Nawet nie wiedziałem, czy Belgia jeszcze istnieje. Myślałem, że moja rodzina nie żyje. Gdybym w marcu 1946 roku nie dostał od nich wiadomości, zostałbym w Ochodzy. I byłbym Polakiem, tak jak wy. □